

**Smak rabarbaru
(fragment)**

Cudowna kapłanko, której uśmiech potrafi rozproszyc każde moje piekło!

Właśnie skończył się obchód i pielęgniarzka wstrzyknęła mi tyk ketonalu, zamiast kolacji. Czuję, jak od dłoni przez serce wypełnia mnie błogie ukojenie.

Przymykam oczy i widzę leśne jezioro z kwiatami kaczeńców, nad którymi kołują diamentowe ważki. Zachodzące słońce wsuwa ciepły język między drzewa, a jego koniuszek liże skrawek piaszczystej plaży. Piegowaty chłopczyk... to ja!... trzyma w ręku nóż. Na głowie ma indiański pióropusz – trzy pióra ciemnoczerwone i jedno żółte z opaską pomarańczowej gumki ze słoika po ogórkach. Jakaś kura została oskalpowana. Nóż jest szczególnie cenny. Został zakoszony przez Indianina z babcinej szafy. Leżał pod sterłą nowych, nigdy nie używanych ręczników, obok złotego pierścionka i kilku kostek szarego mydła. Dawno temu babka znalazła nóż w domu po wypędzonych Niemcach.

Piegusek – chwalony przez rodzinę za łatwość, z jaką posiadał umiejętność pisania słów tak uroczych jak „dom”, „Bozia”, „Polska” – tylko tutaj, z dala od wścibskich spojrzeń, tworzy tajny słownik wyrazów, od których robi się gęsia skórka. Nie inaczej jest teraz. Przykucnąwszy, mocniej chwytając rękę – zaczyna pisać. Przygryziona warga świadczy nie tylko o ogromnym skupieniu, lecz także o ekscytacji. Po chwili na piasku pojawia się „falós”, po nieco dłuższej – „lobotomia”. Policzki chłopca oblewa rumieniec oszołomienia.

Zapisane wyrazy trafiają do tajnego słownika, w którym jest już „trup”, „wzód” i „ prostytutka”, jest „ateista”, „lewatywa” i „orgasm”, są też „stygmaty”, „tryple”, „cholokaust”. Z każdym dniem zbiór powiększa się o kolejne okazy, bo a to sąsiadka puści farbę, a to sklepowej ślina przyniesie na język perełkę, a i na ojca można liczyć. Wystarczy nadstawić ucha i później wszystko zapisać. Zapisać, więc osiąść na własność sekretne związki liter, zapisać na piasku – w tym najtrudniejszym do wytropienia zeszycie, strzeżonym przez wiatry i deszcze. Dużą wartość mają okazy wypowiedane przez dorosłych szeptem, jednak prawdziwie białymi krukami są te dochodzące zza drzwi sławojki – obranej i pełnej much prababki toi-toia. Na przykład „ożesztykurwa”. Chłopiec ma

swoje podejrzenia: to albo rzadka marka żyłek, albo mózdzierz do tłuczenia orzechów.

Jedni zbierają resoraki i kapsle, zapełniają segmenty puszkami po zagranicznych piwach, inni wycinają plakaty z „Zarzewia” i „Razem”, a mały Indianin kolekcjonuje słowa. Czyżby to zwiastun literackiej smykałki?... Uśmiecham się do mojej postaci sprzed lat. Nad pióropuszem opity chłopięcą krwią komar kreśli wstęgę Möbiusa. W dniu wypłaty podobną wstęgę kreśli żyjący jeszcze dziadek, gdy droga od sklepowego ganku do domu jest kręta, a każdy przechodzień – na kolizyjnym kursie. Chłopczyk zawsze przybiega dziadkowi na pomoc, za co zostaje wynagrodzony pomiętym Waryńskim i słownym okazem, od którego włos jeży się na głowie. Wystarczy tylko odsączyć bełkot.

Po drugiej stronie jeziora, w zaroślach pohukuje już noc. Granatowe lustro odbija pierwsze gwiazdy. Ptak podrywa się do lotu i skrzydłem roztrąca srebrzyste konstelacje. Trochę to potrwa, zanim wróci ład na błyszczącą odbitkę kosmosu. Przestrzeń wypełnia się ptasim krzykiem.

Otwieram oczy. Znów jestem tutaj, na sali szpitalnej...

Ketonał jest jednak nieoceniony! Przy kolejnym przymknięciu powiek pojawia się obraz tęczy, rozpiętej nad miastem, między słońcem a zgranatowiałą chmurą podobną do morsa. Białe błyskawice są jego kłami.

Zaczynam wspinać się po wielobarwnym pałaku, jakby to była zwyczajna ścieżka, tyle że z wydeptanych w powietrzu kolorów. Pod tęczą widzę moje rodzinne miasto. Jest poniemiecki budynek podstawówki z asfaltowym boiskiem do gry w szczypiorniaka, jest kościół Franciszkanów, w którym służyłem jako ministrant, ufając, że niebawem nad moją głową rozbłyśnie aureola. Rozpoznaję park z fontannami o łabędzich kształtach. To tam pierwszy raz w życiu doświadczyłem trudnej sztuki rozpinania kobiecego stanika. Gdzieś niedaleko musi być Casablanka – lokal gastronomiczny III kategorii, z golonką, idealnie zmrożoną wódeczką, kaflowymi popielnicami. W nim zapijałem nędzę nastoletniego istnienia, pod okiem wyrozumiałej i zmysłowej kelnerki w rozmiarze XL... Wtedy już wiedziałem, że aureole nie na moją głowę, że nie tylko nie zostanę świętym, lecz także ze zbawieniem będę mieć spory problem.

Wspinam się coraz wyżej, a każdy mój krok sprawia, że w mieście rozdzwaniają się zegary. Ich wskazówki przypominają wirujące skrzydła wiatraków. Drzewa zielenieją, by zaraz pokryć się brązem, ale i ten brąz zrzucają w imię zimowego nudyzmu. Słońce podnosi wyżej swoje dupsko, zaczyna bić kolejne rekordy okrążeń. Chmura, ta chmura podobna do morsa, raz goni je, raz ucieka, gubiąc kły i śnieg z deszczem. Samoloty, chyba radziec-

kie migi 23 z biało-czerwoną szachownicą na skrzydłach, mkną niczym strzały wypuszczone z cięciw za horyzontem. Gwiazdy to gasną, to zapalają się, księżyc do reszty durnieje – tyje i chudnie na potęgę. A ja jestem w najwyższym punkcie tęczy. Ludzie zadzierają głowy i krzyczą, żebym natychmiast zawracał, bo robię im bałagan w przemijaniu, bo moje wygłupy sprawiają, że za szybko rodzą się i umierają, za szybko rodzi się chaos, umiera porządek... Ojciec, bo właśnie spostrzegam ojca, śle złowrogą, choć pustą zapowiedź, że zaraz szlag go trafi. A tam, gdzie ojciec, tam też matka – obiecuje kupić walkmana za bony w Baltonie. Dobrze, już dobrze, zawracam. Sam widzę, że od tej wędrówki posiwiały mi skronie. Gdybym dotarł do drugiego końca tęczy, skończyłby się świat, a przede wszystkim: Ciebie bym nigdy nie spotkał.

Otwieram oczy. Znowu – sufit, ściana, palce nóg wystające spod kołdry.

Na razie nie jest najgorzej. Trochę wspomnień, trochę lekkiego śnienia, bezkarnych zmyśleń. To niewidzialne walizki, które zabrałem z sobą, oprócz tej niby prawdziwej – z ubraniem, kosmetyczką, kilkoma książkami. Otwieram je ostrożnie, bo nie do końca jestem pewien, co kryją.

Chcę wierzyć, że ketonal pozwoli mi przetrwać pierwszą noc bez Ciebie. Wiesz, jak boję się bólu, ale bardziej boję się Twojej nieobecności... Wiele bym dał, żeby to wszystko cofnąć i znów zasypiać przy Tobie. Przysięgam, nie zdradziłbym Cię ani jedną myślą, do minimum ograniczyłbym zestaw męskich depresji i narcystycznych frustracji – co dla Ciebie chyba znaczy to samo. Wreszcie zdobyłbym się na dawno zapowiadany gest: wyrzuciłbym telewizor, doceniając urok naszych niespiesznych wieczornych rozmów. Do końca życia gilałbym Cię po stopach i niczym Marco Polo odkrywałbym erogenne przylądki Twojego ciała. Każdego ranka przynosiłbym Ci w zębach kaptcie, a w dłoni – szklaneczkę mojito!...

To nie patos. To ketonal, cudowna kapłanko!

Dłonie przestają drżeć, krew krąży spokojniej. Uwierz mi, odpoczywam. Przede wszystkim odpoczywam od obsesyjnego myślenia o sobie w żalonym „tu” i przekłętym „teraz”. Ketonal jest moją Ariadną – z kłębka nerwów, jakim dotychczas byłem, wyczarowuje długą nić uspokojenia. Ona wyprowadza mnie z labiryntu własnego „ja”. Nie ma nic piękniejszego niż choć na moment uwolnić się od własnego „ja”! Jakbym wychodził z siebie i stawał obok, nagle zniesmaczony tym pokurczonym czterdziestoletnim mężczyzną z grymasem bólu na twarzy, z parzącą pretensją w oczach, że los obszedł się z nim tak nieelegancko. Własne „ja” jest pretensjonalne, z każdym dniem zmienia się w pracowitego pająka, który tka szczelną sieć hipochondrii... Czasami nabieram podejrzeń, że moje cierpienie ociera się o autoerotyzm.

Na szczęście sytuacja zaczyna wyglądać inaczej. Mogę swobodnie pomyśleć o innych ludziach, bo przecież są jeszcze inni ludzie. Wreszcie jestem w stanie poczuć świat uwolnionymi zmysłami. Jak pięknie pachnie wykrochmalona pościel! Jak miły w dotyku jest wężyk kroplówki! Obracam lekko w palcach tę pępowinę tłoczącą euforię.

Muszę Ci wyznać, że oczarowała mnie pielęgniarka. Nie, żadnych kosmatych myśli ani motyli w brzuchu. Myśli – wyłącznie platoniczne, a jeśli motyle – to tylko metafizyczne. Bo pomyśl sama: czyż wszystko nie zaczyna się i nie kończy na pielęgniarkach? Przy nich rodzimy się i umieramy. To nasze matki przyrodnie za tysiąc trzysta na rękę. To nasze święte od szczepionek, tabletek, kroplówek. Czy ktoś o nich pamięta, poza robiącym pod siebie pacjentem? Czy powstał choć jeden pomnik ich chwały, godny największych bohaterów? Od Poniatowskiego, Traugutta, Kościuszki, od Piłsudskiego po cudzie nad Wisłą wolę pielęgniarkę po nocnym dyżurze! Od powstańców entych i srentych, od cichociemnych, żołnierzy wyklętych, na cokołach narodowej sprawy chciałbym zobaczyć dumnie wypiętą pierś siostry szpitalnej! Pielęgniarki zasługują na coś więcej niż kawa, czekolada, od biedy – kwiatek. Większości nie dane jest nawet powąchać białej koperty. Od białych kopert są kieszonki w kitlach lekarzy.

To nie patos, powtarzam, to przeciwbólowy lek niesie mój pean na cześć niższego personelu medycznego.

I nie zmienię tego opinii szpitalnych zrzęd, zarzucających pielęgniarkom peerelowskie nawyki czy przerzucanie pacjentów niczym kartofle. Na Boga, znajmy miarę i miejsce! Przecież one pracują pośród jęków, lamentów i stęknień, a nie na dyplomatycznej placówce w Brukseli. Zresztą, na dowód, że należy im wiele wybaczyć, zadam Ci retoryczne pytanie: kto ma bezpośredni dostęp do przeszklonej magicznej szafki, zamykanej na klucz?...

A w szafce magicznej, sekretnej szafce leżą sobie bezwstydnie ketonale i nalorfiny! W kartonikach, buteleczkach, ampułkach. Obok jednorazowych igieł, pentazocyny, dolargany, naloksony, morfiny układają się w wielopiętrowe domy, a nawet wieżowce, tworząc Manhattan szczęścia! Są jeszcze inne antydepresanty, barbiturany o tajemniczych nazwach – ni to łaćńskich, ni to z Tolkienu. Tylko sobie wyobraź, każda jedna ampułka to raj w płynie, to wyspy Bahama wstrzykiwane na mililitry! Każda malusia pigułka to Atlantyda w morzu cierpienia, to Ziemia Obiecana podawana w przezroczystych kieliszkach... Nic, tylko łykać i żyć napinać!

Magiczną szafkę, szafkę sekretną zobaczyłem dzisiaj przez uchylone drzwi gabinetu zabiegowego. O mało nie popłakałem się ze szczęścia. Oddział jest dobrze zaopatrzony, można iść z bólem na wojnę. Muszę tylko dobrze żyć z pielęgniarkami. Nie stawiać się,

nie narzekać, nie używać dzwonka z byle powodu, a w nocy to już w ogóle – choćbym konał. Kto budzi pielęgniarkę na nocnej zmianie, ma przechlapane, lepiej żeby w ogóle się nie narodził. Nazajutrz dostanie, owszem, polopirynę albo ibuprom.

Czy mogłabyś przywieźć mi kilka czekolad Lindta? Tych dużych, z orzechami. I kawę, najlepiej rozpuszczalnego Jacobsa.

Wiek „mojej” pielęgniarki oceniam na jakieś pięćdziesiąt lat, nie więcej. Szczupła, o długich blond włosach upiętych w kok, z krótkim nosem podobnym do dziobka sikorki. Zna swój fach, co poznałem od razu po pierwszym, jakże profesjonalnym wkłuciu. Ja dłużej otwieram butelkę piwa. Mogę przysiąc, że nie certoli się z chorymi, hołdując pewnie starej zasadzie, że pacjentowi daleko do szklanki, a umieranie to żaden skandal. Ma dość mrukliwą osobowość i androgeniczną urodę – w typie starszej siostry Cate Blanchett. I piękna, i brzydka, jak z obrazów Vermeera. Wszystko zależy od splotu okoliczności, czyli tego, w którym momencie się na nią patrzy, skąd i jak pada światło: czy z jarzeniówki, czy od strony rozświetlonego okna. No i czy ona sama dumnie podnosi głowę, czy też akurat typie z ukosa. Jeśli dumnie – naprawdę, fascynująca kobieta. Jeśli z ukosa – nic tylko facet, stary dziad prawie.

Ma jeszcze jedną rzadką cechę: jest albinoską, zważywszy na alabastrową skórę jej twarzy i rąk, na zadziwiający kolor jej oczu. Ledwie poprosiłem o trochę więcej leku, pogroziła nieskazitelnie białym palcem i palnęła mnie złotą myślą na odlew: Pacjent – nie szczyrbaty, ketonal – nie suchary. Oniemiałem! Wprawdzie nie wiedziałem, co albinoska miała dokładnie na myśli, ale Cioran nie ująłby tego lepiej. I najważniejsze: jej palec świecił, jakby płynęła w nim fluorescencyjna krew! Bładoczerwone oczy robiły nie mniejsze wrażenie. Poczułem ciarki na plecach i zaraz potulnie odpowiedziałem: Ma pani świętą rację. Przepraszam.

Tylko istota nie z tej ziemi jest zdolna słać tak świdrujące spojrzenie. Może więc nie pielęgniarka? Może bardziej... anioł?... Albo kosmitka?... Kto wie. Jeśli anioł, bliżej mi do bram Piotrowych niż z początku mogłem przypuszczać. Jeśli kosmita... Roswell... Roswell jest wszędzie... Zagadkę w seledynowym fartuchu odprowadziłem do drzwi melancholijnym spojrzeniem.

Druga obserwacja: siwiuteńki i kaleki pan Władysław. Zajmuje sąsiednie łóżko, dzieląc ze mną dwuosobową salę. Nazwałem go sobie Hakawatim, w dodatku pociesznie sepleni. To chyba efekt niedokładnie włożonej sztucznej szczęki, w przeciwieństwie do kilku włosów – bardzo dokładnie zaczesanych na Adolfa. Według lekarskiej diagnozy, staruszek jest ofiarą beznadziejnie zaawansowanej cukrzycy. On sam ją kategorycznie odrzuca i zupełnie inaczej widzi swoje – jak to ujął – „upytki”. Nie zdążyłem się wypakować, a Hakawati zaczął perorować z dumą,

że lewą nogę stracił w pięćdziesiątym szóstym, podczas pacyfikacji strajku w Zakładach Cegielskiego. Miał wtedy szesnaście lat i kroczył zawiadaczko na przedzie demonstrantów, prosto pod gąsienice czołgu. Oho, w kombatanckie papiery gramy – jęknąłem w duchu. Hakawati tymczasem w swojej tyradzie przestąpił z nogi lewej na nogę prawą: amputowano mu ją w przededniu pierwszych wolnych wyborów, wiosną osiemdziesiątego dziewiątego. Akurat wracał do domu po wspólnej fotografii z Wałęsą, gdy rozpedzona suka, jedna z ostatnich z napisem MO, przejechała mu po stopie. Nie miałem już wątpliwości – świr, wariat bez „r” i „d”. I ja z nim, sam na sam, niedobrze.

Towarzysz szpitalnej niedoli snuł dalej opowieść, nienaturalnie wsparty na jednej ręce. Udawałem, że całkowicie pochłania mnie rozpakowywanie walizki. Pominę frenetyczne szczegóły. Z grubsza wyglądało na to, że lewą rękę stracił w sześćdziesiątym ósmym. Żydowski pociąg odjeżdżał z warszawskiego dworca. Pan Władysław nie zdążył odczepić wagonów i nagłe szarpnięcie urwało mu dłoń. Natomiast pamiętnego grudnia, w niedzielny poranek, biegł z ulotkami przez Olsztyn. Od strony koksownika padł strzał. Pan Władysław poczuł ból w uchu.

Dzielny antyfukuyamista oznajmił z powagą, że nie da się historii. Ma jeszcze rękę, język, ucho i dwoje oczu. Na koniec kazał mi podejść bliżej. Gdy pochyliłem się nad starczą głową, ostrzegł szeptem, że bym nie tracił czasu i zadzwonił do rodziny. Niech uciekają z Polski, daleko, jak najdalej, i ja też powinienem wziąć nogi za pas. Skoro będą go ciąć, to znak, że coś się święci, coś znowu wisi w powietrzu. Mocno skonsternowany wróciłem do łóżka.

Nawet nie próbowałem pytać, gdzie i w jakich okolicznościach stracił zęby. Moje ucho i tak zostało wystawione na ciężką próbę. Z nim również zdrowy rozsądek. Bo jak Hakawati mógł biec w osiemdziesiątym pierwszym, jeśli wcześniej stracił dwie nogi? Jak mógł odczepiać wagony, nie mając ręki?... I raz Poznań, raz Gdańsk, raz Warszawa i Olsztyn... Między mną a kadłubkiem wytworzyła się specyficzna relacja, w której normalność nie należy do cech wiodących. Nie chcę myśleć, co będzie dalej.

Jest wystarczająco późno, że bym uznał za sen wszystko, cokolwiek się jeszcze wydarzy. Wieczór ustąpił miejsca nocy, na korytarzu panuje cisza. Hakawati śpi, zbierając siły przed kolejnym wybuchem Historii. Czasami tylko jakiś naiwniak naciśnie dzwonek, drąc potępieńczo japę: siostrzo! siostrzo! i przez oszklone drzwi o mlecznej barwie przemknie cień.

Jego niepokojący kształt budzi we mnie dziecko. A z nim – wiarę w istnienie duchów i zjaw. Atramentowa ciemność za oknem raptem wydaje się dziełem gigantycznej kałamarnicy. Pod lustrem

niby zwyczajny zlew z kranem przybiera postać skarłałego łabędzia o srebrnej i wykręconej do tyłu szyi. Z dzioba – kropla po kropli – spływają łzy. A dwa okrągłe zawory przypominają ucięte piersi amazonki, zamurowanej w ścianie. Daruję Ci inne skojarzenia, choć jest jeszcze chodzik, jest wózek na kółkach, stojak kropiółki, no i kadłubek. Jego przykryte kołdrą plecy wybrzuszają się w garb baśniowego karła. Po prostu horror... Łatwo ulec wrażeniu, że bracia Grimm odpowiadają za feng shui szpitalnych wnętrz.

Bo jak byś wytłumaczyła cichutkie pojękiwanie, które teraz dochodzi zza ściany? Zanim zdążyłem się z nim oswoić, dopadło mnie podejrzenie, że to człowiecza dusza daje o sobie znać. Wyskoczyła z umęczonego ciała i tłucze się po sąsiedniej sali, nie wiedząc, gdzie piekło, gdzie czyściec, gdzie raj. Dyrekcja powinna pomyśleć o drogowskazach innych niż ewakuacyjne wyjścia dla żywych. Tabliczki ze strzałkami kierującymi w zaświaty byłyby sporym udogodnieniem, choć trudno przypuszczać, że zrefunduje je NFZ. Pierwsza tabliczka: „Raj”, i strzałka w lewo z poleceniem, aby wymienić pięć czułych myśli o najgorszym wrogu, następnie strzałka w prawo – dziesięć cnót własnych, i strzałka w górę – dwadzieścia miłosiernych uczynków. Druga tabliczka: „Piekło”, i strzałka skierowana w prawo, z nakazem przypomnienia sobie ośmiu draństw wyrządzonych najbliższym. Później jeszcze raz w prawo: pięć kradzieży, zdrad, masturbacji, ostatnia strzałka: trzy próby samobójcze, w dół. Trzecia tabliczka „Czyściec” ze strzałką – cały czas prosto. Dlaczego prosto? A tak mi się pomyślało. Duszyckie szłyby jak po sznurku, nie czekając na Sąd Ostateczny.

Koniec końców, uznałem, że radio tak łąka albo... mysz. Cudem ocalała z dezynfekcyjnego pogromu, siedzi w jakiejś dziurze i wznosi lament do Świętej Goudy – patronki wszystkich wygłodniałych gryzoni. Mało prawdopodobne? Pozostańmy przy wersji z radiem. Obowiązkowo Chopin dręczony palcami samobójczo usposobionego pianisty; już sobie upatrzył gałąź wierzyby płaczącej, na której powiesi się, gdy dotrze do ostatniej nuty. Tak czy siak – pianista czy mysz, jeden pies, to znaczy – jęk. Tutaj cisza nocna naruszana jest permanentnie. Personel łaskawie przymyka oko. Tylko kretyń dzwoniłby po policję. Choć mogę być w błędzie. Cierpienie przejadło się. Na nikim nie robi wrażenia, a przeszkadza tak samo jak grill u sąsiada lub zbyt głośna muzyka. Trzeba przeczekać do świtu. Bo po nocy przychodzi dzień, a po bólu spokój. Nagle siostra zjawia się, z igłą i pigułką – tak powinien brzmieć tekst znanej piosenki Budki Suflera.

Zanudzam Cię pielęgniarce i Hakawatim? Dla odmiany kilka słów o nas: podczas pożegnania, już w drzwiach, spytałaś, czy się modłę.

Oczywiście, spytałaś w swoim stylu – niby od niechcenia, jakby chodziło o coś z pozorów mało istotnego. O kształt wiosennych cumu-

lusów, przepływających przez okno mojej sali, albo o to, czy regularnie robię siku.

Cumulusy przyjmują kształt zgniecionych cylindrów, a robienie siku jest tutaj kwestią życia i śmierci. Niedostatecznie rozumianą na zewnątrz i o wiele ważniejszą niż najszczęśliwsza modlitwa. Potwierdzą to szczęśliwi posiadacze kaczek. Męczennicy od cewników i kateterów dodadzą, że kto czuje ulgę płynącą z pęcherza, ten jeszcze nie jest rośliną, podwiązaną do życia wenflonem. Mam trochę czasu, zanim zacznę mówić językiem paprotki i mylić łóżko z doniczką. Nawet jeśli ten moment nadejdzie, proszę Cię, wystrzegaj się rozpaczy. Nie można bowiem wykluczyć, że będę najszczęśliwszym storczykiem albo nasturcją – wabiącą jakąś pszczołę. Przecież nic nie wiemy o życiu nasturcji, której kiedyś zdarzyło się być człowiekiem.

Plotę trzy po trzy, co? Też byś plotła przed pierwszą nocą w tym miejscu.

Twoje pytanie wywołało we mnie głęboki niesmak. Wybacz, ale oboje wiemy, że są pytania, które albo zadaje się na początku związku, albo nie zadaje się ich wcale. Nigdy wcześniej nie pytałaś, więc skąd nagle ta ciekawość? Tylko dlatego, że znalazłem się w szpitalu?... Podpuszczasz mnie, złośliwa kapłanko. Sprawdzasz mój lęk? Sondujesz, czy już zaciska na sercu stalową klamrę?...

Chcę wierzyć, że jeszcze zdążymy pogubić ostatnie zęby nad wspólną paczką kukurydzianych chrupek. Od kolejnej przeżytej wiosny po kolejną przeżytą zimę Ty będziesz dziergała nikomu niepotrzebny szalik, ja będę wyruszał na codzienne wyprawy do parku, by wracać pod wieczór w asyście straży miejskiej. Dzisiaj nie umiem powiedzieć, czy decyzja, by nie mieć dzieci, to nasza klęska czy szczęście... Śmierć w otoczeniu dzieci musi być torturą, bez nich – nonsensem.

Na razie mój lęk przypomina jaśniepańskie kocisko, które chadza własnymi drogami. Przez cały dzień nie dawał znaku życia, dlatego miałem dość dobry humor. Na izbie przyjęć pobrali mi krew, zważyli, zmierzylili wzrost i ciśnienie. Zrobili też EKG serca – jego wykres przypominał średniowieczne miasto ze strzelistymi wieżami katedr, naszkicowane na długiej wstędze papieru.

Gdyby kazali zdjąć majtki i wypiąć tyłek, pomyślałbym, że cofnąłem się do czasów komisji poborowej... Pamiętam jak dziś tłumek wyrostków z rocznika '72, stłoczony przed gabinetem lekarskim Wojskowej Komendy Uzuppełnień. W gimnastycznych spodenkach i podkoszulkach, z pryszczami na twarzach i plecach. Śmierdziało od nas hormonami i elastikową skarpetą – idealne mięso armatnie podupadającego socjalizmu, zapatrzone w Zachód o twarzy Thomasa Andersa z Modern Talking. Naszymi plemiennymi barwami były białe skarpetki i dekatyzowany błękit dżinsów od Turka.

Przywdziewaliśmy je wprost z bagażników małych fiatów, które śmierdziały kebabem i plastikowym kłapkami. Ilekroć ktoś pyta o moją tożsamość, zawsze wskazuję na półksiężyc.

Starsi kumple biegali po wódkę dla kacyków z Komitetu Wojewódzkiego albo dla lokalnych Michników i Kuroniów. My nie mieliśmy takiego szczęścia. Czuliśmy instynktownie, że pomyślna przyszłość pozostanie dla nas na zawsze smętym oksymoronem. Do dzisiaj nic się nie zmieniło – kto chce coś osiągnąć, musi za młodu biegać. Kto coś osiągnął – dla niego biegają. Problem w tym, że starzejemy się i nikt z młodych nie chce dla nas biegać po flaszkę. A przecież z roku na rok gołda wchodzi coraz gorzej, nawet w drinkach, i zawsze wydaje się za ciepła. Posiadanie dzieci też nie rozwiązuje sprawy. Opowiadał mi niedawno Koniu, że jego synalek całymi dniami siedzi przed kompem, podłączony do fejsa jak do respiratora. Nawet kasy za bardzo nie chce. Chce szybszych łączny, inaczej umrze. Gdy Koniu poprosił, żeby kopnął się po małe co nieco dla starego ojca, usłyszał: a kim ty jesteś? Trudno o lepszy dowód braku autorytetu i naszej pokoleniowej klęski.

Nie pamiętam nikogo, kto chciałby iść do wojska. Żołd, prawo jazdy, niby powszechny szacunek nie działały już nawet na chłopaków ze wsi. One podniecały wyłącznie naszych ojców i wujów, którzy przy świątecznym stole porykiwali ze śmiechu, opowiadając setny raz, jak to szczoteczką szorowali kible, albo też łyżką na mrozie kopali groby niedopałkom.

Korytarz Wojskowej Komendy Uzuppełnień przypominał regularny dom wariatów. Neurotyczni perkusiści wywijali w powietrzu pałeczkami, a ich długimi piórami miotały burze. Wygoleni od brwi aż po łydki dziwacy w stylu Boba Geldofa z filmu *The Wall* zagadywali o Katyń, jeden nawet malował sobie paznokcie, twierdząc, że czuje się kobietą zgwałconą przez czekistę. Byli też zwolennicy szkoły Arnolda: po zdjęciu zielonych moro, po wypakowaniu z toreb plastikowych karabinów, blaszanych koltów na kapiszony, hełmów, mieczy i tarczy, obwieszali się całym tym badziewiem i defilowali po korytarzu. Ja z kolei postawiłem na syndrom popa. Oznaczał on tyle, że należało kłaniać się i czynić prawosławny znak krzyża w najbardziej nieoczekiwanych momentach.

Usłyszawszy swoje nazwisko, wkroczyłem odważnie do gabinetu i przeżegnałem się zamasyście do jednego Boga w trzech osobach: majora, kapitana, podporucznika. Dla większego efektu obszedłem gabinet i obkadziłem każdy jego kąt. Pozwoliłem sobie nawet odchylić wieko niewidzialnego kadzidła, włożyć kilka węgielków i wzniecić większy żar kilkukrotnym machnięciem. Niestety, religijny rytuał nie wywoływał pożądanej reakcji. Major dębał w nosie, kapitan coś pisał, podporucznik kazał rozebrać się do naga i stanąć metr od komisyjnego stołu. Postanowiłem być pokornym

sługą Bożym: odstawiwszy kadzidło, rozebrałem się do rosołu. Na koszulce i majtkach zrobiłem znak krzyża i wypiąłem pośladki.

Ty, panienka, szerzej! – usłyszałem od razu rozkaz. Jego autora, z tej pozycji, nie sposób było ustalić. Poczerwieniały ze wstydu, bez słowa wystawiłem się mocniej, jakbym chciał ofiarować wolność moim hemoroidom. I czekałem, aż się napatrzą. Nie trwało to długo, lecz wystarczyło, żebym nabawił się lekkiej traumy. Co by nie mówić, sytuacja niezręczna i niewygodna. Wprawdzie nigdy nie kroczyłem w pierwszym szeregu patriotów, ale świecić gołą dupą na wprost godła?... Chuj bombki strzelił, odrocзки nie będzie. Będzie A1 – zasępiłem się. Miałem rację, ale miałem też plan B – studia, o którym nie wiedział kapitan wbijający mi do książeczki pierwszą literę alfabetu. Na koniec przeżegnałem się, życząc Trójcy w trzech wojskowych stopniach rychłego nadejścia III wojny światowej.

Wtedy jeszcze nie wiedziałem, czego polska armia szuka w moim tyłku. Pod koniec lat osiemdziesiątych nie było gejów. Byli starzejący się w zawrotnym tempie hipisi. Były skiny – wcześniejsze wcielenia dresów, punki – zapowiedź dzisiejszych emo, metalowcy – odpowiednik obecnych ekosatanistów. Byli popersi, depeszowcy, niedobitki statusiałyłch gitowców z granatowymi kropkami w kącikach powiek, no i pedały – wyśmiewana i rzadko spotykana subkultura. Dlatego często mylono ją z pederastami. Geje pojawili się dekadę później.

Po badaniach pielęgniarz odwiózł mnie windą na oddział i trafiłem do sali, w której Hakawati czekał z opowieścią o swoim kalectwie. Rozpakowałem się, poczytałem „Wyborczą” i *Śmierć pięknych saren*. Przy „Wyborczej” jakaś głowa zajrzała przez drzwi – widząc gazetę, rzuciła złośliwie: komuch!, i zniknęła. Kadłubek uraczył mnie pełnym rezerwy spojrzeniem.

Około siedemnastej pielęgniarzka założyła mi wenflon. Nie, nie albinoska, dla odmiany – kobieta o cerze i rysach Cyganki. Miała spory problem ze znalezieniem żyły. Kolejne nieudane próby wywoływały w niej zaciekłość, jakby moja ręka była kartą, z której nie można odczytać wróżby. Pokłuta mnie boleśnie, zanim trafiła w niebieską niteczkę nadgarstka. Pozwoliła sobie nawet na ironiczny komentarz, że moje ręce nie widziały ciężkiej pracy. Już miałem na końcu języka przekleństwo, ale w ostatniej chwili wydałem z siebie skruszoną onomatopieję... Szafka magiczna, sekretna szafka, więc morda w kubeł!

Gdzieś niedaleko musi być kościół. Wraz z pierwszym dzwonem na korytarzu zrobił się ruch. Kucharki zaczęły rozwozić kolację, pobrząkując naczyniami i wydając rozkazy, kto ma się najeść, a kto ma się obejść smakiem. Na talerzach – survivalowy zestaw: łyżka dżemu, kwadracik masła, dwie kromki chleba. Szczególnie rozczulił mnie widok białych ceramicznych kubków. I jak kucharki napeł-

niały je herbatą, rozlewaną z dużego kotła blaszaną chochlą, tak mnie napełniły bezbrzeżną nostalgią. Pamiętasz stołówki i mleczne bary? Pamiętasz posiłki na koloniach i półzimowiskach? W moim sercu do dzisiaj toczy się bój o palmę pierwszeństwa między kubkiem cienkiej herbaty a buteleczkami gorącego mleka, roznoszonymi po klasach w drucianych skrzynkach. Myślałem, że już na zawsze pożegnałem widok tych kubków, a tu proszę – jakby czas stanął w miejscu. Do USG brzucha i kolonoskopii muszę być na czczo, więc tylko się oblizałem. Może to nawet i dobrze – na głodnego ketonal daje większego kopa. Tymczasem Hakawati wysiorbał kubek do dna i ręką niczym szablą wymłócił talerz do ostatniego okruszka. Pozwolił sobie na złośliwą uwagę, że podczas internowania w więzieniu dostawał i więcej, i smaczniej. Zdarzały się nawet pomarańcze. A tutaj pomarańcze może sobie co najwyżej wyobrazić. Nie o taką wolność walczył, nie o takie chorowanie.

Ostatnim punktem szpitalnych atrakcji na dzisiaj był obchód. Ale cóż to za obchód?! Wolne żarty, kpina, parodia. Konsylium lekarskie sprowadzało się do jednego młodziutkiego i mocno przestraszonego lekarza, o twarzy bladej, pociągłej, nijakiej, z kępką sterczących włosów. Wyglądał jak przerośnięty por, wyrwany ze świata warzyw i siłą wrzucony między ludzi. Na kilometr wiało od niego stażystą – nie jestem pewien, czy umiał odróżnić wątrobę od nerki. Tylko obecność albinoski i jej uwagi wyszeptywane na ucho wstrzymywały nadzieję polskiej chirurgii przed natychmiastową ucieczką. Postanowiłem to wykorzystać. Boli, o tutaj, i tutaj, i tutaj jeszcze – wskazałem palcem, specjalnie dręcząc lekarzynę. Jak podejrzewasz, bez trudu wymogłem na nim ketonal, usłyszawszy zapewnienie, że jutro będę miał USG brzucha, a podczas porannego obchodu ordynator powie mi więcej. Cóż za przenikliwość! Żałuję, że nie zażądałem morfiny. Hakawati był bardziej miłośnierny – spał. Doktor House dla ubogich nie pozwolił go budzić.

Tyle mój raport ze świata jawy. Jednak opowiedziany świat przestaje istnieć w chwili, gdy pada ostatnie słowo. Nie można się w nim schować. Człowiek na powrót jest sam na sam z własnym „ja”. Koszmar!

Znowu przymykam oczy, chcąc znaleźć się jak najdalej stąd. Wtulony w poduszkę zaczynam szeptać, jak bardzo Cię kocham. Widzę Cię w słońcu, widzę Cię w deszczu, widzę Cię w czterech porach roku. Widzę Cię nago, w pończochach, w sukienkach. To Ty, zamiast małego piegusa, stoisz na piaszczystej plaży. Uśmiechasz się i bosą stopą ścierasz wszystkie zapisane słowa. Twoja bosą stopa jest boska! Ptak podrywa się do lotu, lecz nagły wiatr rzuca nim w krzaki. Już nam nie przeszkadza.

Rozanielony i niepoczytalny, płynnie przechodzę z obrazu w obraz. Nie uwierzysz – wyginam się w kabłąk tęczy zawieszono-

nej nad moim miastem, nad Casablanką, nad szkołą, kościołem! Ty zmieniasz się raptem w nagą olbrzymkę – najwyższe budynki sięgają Ci ledwie do kolan, a obłoki zdobią Twoje czoło. Siadasz na mnie okrakiem i mocno zaciskasz uda. Jedno dźgnięcie boskich stóp sprawia, że zostawiam za sobą miasto, uwalniam się od ludzi, ich krzyków i oszalałych zegarów. Gnamy, gdzie oczy poniosą, uciekamy, gdzie pieprz rośnie i pachnie wanilią, byle szybciej i dalej, z jasności w ciemność, z ciemności w jasność – zaczarowany obraz, zaczarowana wieczność, zaczarowana Ty pod powiekami. Śmiejesz się tak głośno, że niebo pęka i wypadają z niego wszyscy święci i wszyscy bogowie, jakich człowiek stworzył. To tylko miniaturowe figurki, ulepione z ludzkich nadziei i strachu. Lecą na łeb, na szyję, na zatrącenie. Niczym mantrę powtarzam Twoje imię i mdleję, majaczą, jest pięknie! Ja – gadający koń kolorowy, ja – osiołek tęczy, oszalały ze szczęścia. Ty na mnie i we mnie na wieki wieków amen. Dalej i szybciej, szybciej, goręcej, namiętnej! – musimy się spieszyć, bo przezroczysta rurka, niczym łodyga nierealnej rośliny, już dawno jest pusta...